№ 21. Warszawa, dnia (9) 21 Maja 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12
Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Zaczytałem się. Zdrów jestem. A ty? Jedziesz do Rudy?

— Jutro, już na stałe. Wstąpiłem do ciebie po drodze.

— Na stałe? Poco? Chce ci się tam zakopać—niespokojnie rzekł Włodzio.

— Matka każe!—rzekł Kazio lakonicznie.

— Jutro cię nie puszczę. Zabawimy się trochę. Nie rozumiem po co cię matka ściąga. Ty bo nie masz za grosz woli. Powinieneś się oprzeć, jeszcze rok praktykować. Zresztą z twemi zdolnościami i siłami mógłbyś dostać świetną posadę, mieć tysiące, zamiast być popychadłem matki. Czy ty myślisz, że ona się władzy i rządu wyrzeknie. Będziesz u niej karbowym bezpłatnym.

— Na to mnie sobie chowała i kształciła. Wolę być u niej w Rudzie ostatnim jak gdzieindziej pierwszym.

Stropił się Włodzio, ale coraz był niespokojniejszym.

— Wiesz, że matka ma nową towarzyszkę?

— Wiem, i wreszcie ta jej dogodziła. Toś ty tej sztuki dokazał i wynalazł ideał.

Domyślił się Włodzio, że brat o jego konkurach nic nie wie. Postanowił tedy kwestyę wyjaśnić.

— Wiesz, że jestem z nią zaręczony.

— Z kim? Z tą towarzyszką mamy? No to kiedyż ślub?—odparł spokojnie Kazio.

Wstrętny był z tą flegmą.

— Albo ja wiem kiedy ślub! Żebym ja wiedział.

— No, czemu?

— Bo ona mnie nie chce.

— Aaa. Taak! A mówisz żeś zaręczony. Czy matka o tem wie?

— Wie i pozwala na taki skandal, i trzyma ją w Rudzie, a mnie, mnie zabroniła tam przyjeżdżać! Rozumiesz! Wymówiła dom rodzonemu synowi dla kaprysów obcej dziewczyny.

— Musiałeś dopiero bąka palnąć, kiedy do tego doszło! — roześmiał się Kazio. — No, no ciekawym tej panny bardzo, co aż ciebie przekonała do sakramentu

— Bardzo cię proszę, abyś się do niej nie zalecał, bo ona mnie przeznaczona.

— Ale ciebie nie chce. Słowo daję, nie poznaję ciebie. A toś ty *na fest* zakochany.

— Nie masz z czego żartować—ty się na tem nie rozumiesz. Ty się ożenisz z pierwszą lepszą, którą ci mama wybierze — jak chłop. A ja z tą, albo żadną. Tylko to sobie zapamiętaj — tobie do niej wara! Czytałeś, znasz, „Die Braut von Messina?"

Kazio ramionami ruszył.

— Widocznie, że i na fizyków deszcz padał!—rzekł ziewając, bynajmniej nie wzruszony groźbą.

Zaczął się zbierać do snu, i po chwili spytał:

— Ozierskie zmieniły mieszkanie?

— Zkąd wiesz. Jużeś tam był?

— Nie, ale mam do Stasi list i książki od koleżanki z Genewy, i nie wiem gdzie jej szukać.

— Ano, tak. Przeniosły się na Złotą 26 dla biednej Ozierskiej, która desperowała w starych kątach. Wiesz, Stasia bardzo porządnie się sprawia. Ani słówka narzekania, chociaż nie słodko jej z chorą, no i rok stracony. Szkoda tylko, że ona tak do ludzi nie podobna; bywałbym częściej. Miałaby towarzystwo i opiekę, ale cóż, kiedy ona jest dziwoląg, i ja się z nią nigdy nie mogę porozumieć.

Kazio zapewne już spał, bo nic nie odpowiedział.

Nazajutrz rano wyszedł, wprost na Złotą 26. Otworzyła mu sama Stasia.

Podali sobie ręce i uścisnęli po koleżeńsku.

— Jedziesz do domu?—spytała.

— Tak. Cóż z tobą? Bieda?

— Ano, pewnie. Matka dotąd nie odzyskała władzy w nogach, i zapewne już tak zostanie. Mój dyplom caput.

— Nie może tak być. Mnie gorzko o tem pomyśleć; jakże tobie dopiero musi być okropnie. Trzeba skończyć. Ja ci podam projekt. Przyjedź z matką do Rudy i tam ją zostaw. Przysięgam ci, że będę ją sam niańczył i pilnował, a ty wracaj do Genewy.

Stasia popatrzała nań uważnie, potrząsnęła głową.

— To się nie da zrobić, ale żeś to pomyślał i powiedział, zapamiętam ci całe życie. Dziękuję. Chodźże do matki. Wspomina cię często i dobrze. Przecie, żeby nie ty wtedy, tobym już dawno zgniła w ziemi! Ona ci to pamięta.

Weszli do saloniku, gdzie Ozierska siedziała u okna, zajęta robotą na drutach.

Rozpłakała się na widok Kazia, ale rada mu była i zaczęła rozpytywać, gdzie się obracał—co porabiał—co matka pisuje.

On zwykle małomówny rozgadał się, potrafił ją zająć, nawet rozweselić. Stasia tymczasem rozpakowała przesyłkę koleżanki i wykrzyknęła radośnie.

— Wiesz, Magda mi kursa notowała, przysłała cały semestr. Skarby!

Oczy jej błyszczały zapałem, i zaraz rzuciła się czytać z chciwością, zapominając o wszystkiem. Kazio w dalszym ciągu bawił matkę, gawędził, zwijał włóczkę, podał lekarstwo, przyniósł z kuchni bulionu, rozgospodarował się jak w domu.

Zatrzymała go Ozierska na obiad, a potem został na wieczór, i głośno czytał chorej.

Opodal, przy drugim stoliku Stasia z głową w dłoniach pożerała kursa; ani razu się do nich nie odezwała, opętana swą gorączką nauki. O dziesiątej matka zawołała ją – chciała już spocząć, wtedy napół przytomna oderwała się i zbliżyła do nich.

Kazio się pożegnał i rzekł:

— Jeślim pani nie dokuczył, przyjdę znowu jutro.

— Mój drogi, to ja mogę dokuczyć nie ty. Przyjdź, jeśliś taki poczciwy.

Stasia nic nie rzekła, może nawet nie słyszała o czem mówią. Zaledwie ułożyła matkę do snu, wróciła do saloniku i czytała, czytała, aż jej biały dzień przerwał. Potem się wcale nie kładła, tylko umyła, przebrała, wyprawiła kucharkę na targ, i oczekując przebudzenia matki czytała znowu.

Kazio doznał od Włodzia bardzo złego przyjęcia.

— No i cóż ty sobie myślisz. Czekałem ciebie na obiad, czekałem na herbatę, kupiłem bilety do teatru, a ty gdzie się włóczysz. Cóż to—łajdactwo na cię napadło? Ładne obyczaje!

— A tobie co to szkodzi. Hulałeś ty dosyć, teraz na mnie kolej. Wcale na mnie nie rachuj, będę u ciebie nocował. Dla twej cnoty to wystarczy. A dnie będę używał wedle własnego gustu!

— Awantura! A tak ci pilno było do Rudy?

— Pilno, pewnie że pilno, alem się dosyć nanudził w Prusach, i dość się w Rudzie nanudzę. Więc zabawię się tydzień w antrakcie. Dobranoc ci!

I prędko naciągnął kołdrę na głowę, aby przerwać egzamin i żarty.

Rzeczywiście dotrzymał słowa Bawił tydzień i wracał do brata tylko na noc. Na wszelkie pytania wykręcał się słomą, lub opowiadał jakieś bajki o poznanej w drodze Francuzce, o spotkanym koledze i t. p.

Dopiero ostatniego dnia wyciągnął ze sobą Włodzia, ale na sprawunki, i wynudził go setnie, wodząc po składach narzędzi rolniczych, żelaza, skór, farb, smarów, sznurów i t. p. „delikatesów."

Zjedli potem dobry obiad, i Włodzio ciągnął go na teatr, proponował wesołą kolacyę.

— Ba, a moja Francuzka! Muszę ją przecie pożegnać!—roześmiał się Kazio, podniecony trochę benedyktynką.

I zostawił go jeszcze przy stole, a sam umknął.

Zanim doszedł na Złotą, trochę ostygł, ale zawsze nadzwyczajne było jego żądanie, gdy mu Stasia otworzyła drzwi.

— Jadę o jedenastej, pójdź ze mną na spacer do Łazienek. Dobrze? Nogi trochę rozprostujesz.

— Czyś oszalał! Na spacer! A nam to po co? – zdziwiła się.—Zresztą mama..

Ale Ozierska dosłyszała i poczęła wołać:

— Ma racyę, ma racyę! Przejdźcie się troche! Do mnie się obiecała dziś na wieczór Męcińska, wcale was nie potrzebuję. Idź, dziecko, idź!

— Ależ, kiedy ja nie chcę! — oburzyła się Stasia. Nie znam nic bliższego idyotyzmu, jak spacery dla spaceru.

Kazio nic nie odpowiedział, ale właśnie to milczenie wydało jej się wyrzutem, a podejrzliwa była ogromnie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W nieskończoność.

Miryadami gwiazd usiany
Nieb nademną strop,
Bezmiarowych świateł tajni
Bije od nich snop.

Dusza moja w tej przestrzeni
Wszechświatów bez końca,
Atomowych pragnień siłą
Rwie się hen, do słońca.

I roztapia się w nektarze
Mlecznych nieba smug,
I przebóstwia się w bezmiarze
Wszechświatowych dróg.

Atomowych pragnień dreszcze
Przeżywa mój duch,
Wszechharmonią niebios pieszczę
Spragniony mój słuch.

Rozkosz bytu wchłaniam w siebie,
Rozkoszą tą drgam,
Tu na ziemi, jam już w niebie,
Niebo w sobie mam.

* * *

Miryadami gwiazd usiany
Nieb nademną strop,
Wiekuistych świateł tajni
W duszy mojej snop.

* * *

A tu w dole, Kaimowy
Wstrząsa ziemią bój,
A tu krwawi ludzkie czoła
Bezpamiętny znój.

Drobnych, ludzkich spraw zawiłość
Ćmi bezbrzeży moc,
Ustąpiła z ziemi miłość,
Życiem władnie noc.

Pośród mroków niepamięci
Krzątają się ślepcy,
Słabi duchem i mdli ciałem,
I myślą nie krzepcy.

Mało który ku bezkresom
Tęsknotą wybiega,
Mało który poza sobą
Coś więcej dostrzega.

Duchy wielkie nas rzuciły,
Odeszły, wymarły,
Na sen poszły do mogiły,
Światem władną karły.

Co wielkiego w nas zostało,
To z sobą w rozterce.
Duch w nas słabnie, słabnie ciało,
I maleje serce!

Nasze własne *ja* bezmiernie
Zasłania nam świat,
Osobniczych bólów ciernie,
Naszych uczuć kwiat.

Serce nasze już miliona
Cierpień nie ogarnia,
Jednostkowych jęków łona
Sztuczna w niem cieplarnia.

Bóle nasze, to nie bóle
Tytanicznych tchnień,
Ciernie nasze, to nie ciernie
Wielkich ducha drgnień.

Posiwieliśmy przed czasem,
Zniżyliśmy lot,
Osobistych cierpień lasem
Tkwi nam w piersi grot.

My, w pojęciu naszem wielcy,
Siewcy nowych drgnień,
Tak dalecy od wielkości,
Jak od prawdy cień.

* * *

Miryadami gwiazd usiany
Nieb nademną strop,
Przedstworzennych potęg tajni
Bije od nich snop.

Duszę moją, atom boży
Wśród niebieskich pól,
Wstrząsa całą, najtajniejszy
Wszechistnienia ból!

Helia.

Sprawozdania literackie.

Deotyma: Wybór poezyj.

„Do odlotu czas" — mówi poetka pieśniom swoim, wyprawiając je między ludzi.

„Porzucajcie gniazdo wasze,
Gaj pożółkły, wieź poddasze
I okienka chat.
Nawiązujcie trójkąt stada,
Co jak harfa się układa,
I odlećcie w świat!"

A nie miejcie „kruczych szat" prawi dalej.

„Dość już gońców czarnej troski
Wy roznoście uśmiech boski
Na spłakany świat."

Wszystkim, czy to z dobrą, czy złą duszą, wszystkim, którzy przez ten padół muszą iść nieście *Pokój*.

Tym, co na piersiach cisną urnę przepłakanych strat,

„rzućcie błękit ponad głowy,
Niech w *Pogodzie* lazurowej
Zmieni im się świat.

Samolubom, którzy w życiu widzą chytrą grę:

„Na zeschnięte serc ich wióry,
Zapał nieście tchem wichury
Jak czerwoną skrę."

Nieszczęśliwym, patrzącym buntowniczo w niebo, a nienawistnie w świat:

„tym na łono,
Rzućcie *Miłość* rozpłonioną,
Jak różowy kwiat.

Pragnącym ochłody bojownikom ideału

„Pokazujcie tę *Nadzieję*
Co w pustyni palmy sieje,
Pod palmami zdrój."

Wszystkim zaś bez wyjątku:

Na promieniu gwiazd przynoście
Wiarę w inny świat.

Istotnie spokój i pogoda przenikają zawarte w dwóch tomikach utwory Deotymy, pochodzące z różnych lat jej życia. Najwcześniejszy nosi datę 1852 r., najpóźniejszy 1886 roku. Zdumiewać się przychodzi, że w ciągu tego tak długiego czasu duch poetki żadnym jakby nie podlegał wstrząśnieniom, zawsze równie wysoko strojny, zawsze jednakowo zdaleka na świat patrzący, zawsze spokojny, zrównoważony.

Twórczość Deotymy, to królestwo myśli podniosłej, ale spokojnej, to toń jeziora przezroczysta, gdyby tafla kryształu gładka i chłodna. Tu nie wije się nić krwawa, jak przez utwory Konopnickiej np., nie wiszą na niej przejrzyste perły — łzy, tu niema krzyków rozpaczy, wybuchów oburzenia, tu niema łkań, niema rozmarzeń i tęsknot mistycznych, niema także entuzyazmu i ognia, i goryczy Gabryelli, tu niema półcieni, fantastycznych mroków, tu nie szumią nigdy wichry, nie huczą morza, tu nie brzmi nigdy olbrzymia, straszna lub rzewna pieśń przyrody. W tej krainie jest pięknie, widno, jasno, cicho ale chłodno. Słońce, które tu z wyżyn niepokalanego błękitu rzuca promienie swoje — świeci ale nie grzeje.

I nie dziwmy się, że nie słychać tu płaczów i zgrzytów ziemskich. Mieszkańcami tego państwa nie są ludzie żywi. Po tym Olimpie przechadzają się *widma ideowe*, że użyjemy wyrażenia samej autorki. Jedne z nich zowią się Wiarą, Nadzieją, Miłością; tam niebianka Prawda, ówdzie z zasłoniętą twarzą Potomność, Ideał, syn bogów najstarszy. i t. d. Inne noszą imiona Przyjaźni, Przeznaczenia, Pokoju, Cnoty, Poezyi. Tu idzie Sen pół-anioł, pół-strach, ówdzie Czyn „Namiętności i Rozumu marmurowy syn" wróżka-Wyobraźnia, Rzeczywistość, chmurna władczyni życia, Słowo, bóg wszechwładny i t. d. i t. d. Nie dziw, że niema tu rozterki, że harmonijny wciąż płynie hymn. Wszak jesteśmy tak daleko od życia, w świecie pojęć czystych; wszak tu uczucia, namiętności głos nie dochodzi. Abstrakcye ani płaczą ani się szarpią nerwowo.

To olimpijskie oderwanie się od ziemi zapewnia Deotymie wśród ogółu poetów naszych stanowisko zupełnie wyjątkowe. Od największych zacząwszy, aż do tych, których na najniższych szczeblach poetyckiej hierarchii naszej stawiamy, wszyscy oni „żyli, kochali i walczyli" z nami. Z poetek: Gabryella, Konopnicka

„Wszystkie z nami przepłakały ciosy
I wszystkie nasze łzy wzięły na włosy."

wszystkich naszych oczekiwań daremnych odczuwały trwogę, i wszystkich naszych pragnień niezaspokojonych wyśpiewały lęk. Deotyma stała od nas zawsze zdala w pięknym, jasnym, czystym, cichym świecie abstrakcyi.

Dokoła podnosiły się skargi, ból jęk wyrywał z piersi, łamały się dłonie, targały włosy, padały w gruzy umiłowane nadzieje, w prochu walały się ukochane ideały, a spokojna toń jej twórczości ledwie w drobniuchne marszczyła się fale.

W chwilach, które na zawsze czerwoną naznaczyły barwą skrzydła takiego Asnyka, które w bolesną skamieniałość ścięły entuzyazm Żmichowskiej, które zupełnie połamały lub pokrzywiły tylu innych, z pod pióra Deotymy wyrwało się tylko westchnienie. „Pokoju! Ach pokoju!" Wierna zaś swemu wysokiemu etycznemu stanowisku, zaznaczyła, że jednak nie chce pokoju — *za wszelką cenę*.

Duchu! My cię nie błagamy
O ten spokój serc bez troski,
Którym dosyć ziemi samej,
Lecz o cnoty spokój boski,
Co i w śmierci tryumfator
Może wznieść „Veni Creator!"

W powyższej charakterystyce wielkiej poetki nie tkwi bynajmniej zarzut żaden. Niedorzecznością byłoby żądać by wszystkie dusze jeden wydawały ton. Z rozmaitości tonów rodzi się harmonia, z różnorodności dusz twórczych powstaje harmonia kultury narodowej.

Pragnęłam tylko zaznaczyć, że taką a nie inną barwę ma twórczość Deotymy.

Przyjrzyjmy się teraz innym charakterystycznym cechom tego wielkiego talentu.

Z abstrakcyjnością umysłu Deotymy kojarzy się, a właściwie wypływa z niej niedostatek plastyki. U Deotymy niema obrazów, niema barw, niema nawet linii. Jest za to bogactwo rytmu, potężne odczucie jego piękna, jest muzyczność wiersza, dla każdego pojęcia inny znajdująca dźwięk.

Drugiem, bardzo oryginalnem znamieniem tej indywidualności jest nieodczuwanie przyrody. Deotymy lasy, skały, ścieżki górskie, to tylko pojęcia także, lub dekoracye wśród których spacerują uosobione abstrakcye.

W tomie pierwszym znajdujemy „Odę do przyrody." Ale cóż mówi tam poetka?

„Gdy mi w duszy jest radosno
Gdy nadzieje w sercu rosną
Wtedy w szumnym drzew pokłonie
I tętniącym jaskiń dzwonie
. . . .
I w pękaniu wszystkich kwiatów
I w symfonii wszystkich światów,
Słyszę własnych uczuć echo.

Gdy mi błogo, gdy mi młodo,
O radosna, o przyrodo,
Ty się dzielisz mą uciechą,
Lecz gdy żal za serce chwyta,
Gdy zgryzoty dłoń ukryta,
Piołunowy kielich poda
Wtedy nie zna mnie przyroda."

A dalej dodaje: „Ty stokrotne masz imiona, wszystkie prócz pocieszycielki."

W niektórych uszach brzmieć to może jak bluźnierstwo. Tak mówi człowiek przyrodzie istotnie obcy, człowiek który jej nie ukochał, który nie poznał kojących jej czarów, któremu nie była ona nigdy matką, lecz chyba zimną nauczycielką tylko.

I w dalszym ciągu, w szeregu strof i antystrof wypowiada autorka poglądy swe na przyrodę, które sprowadzają się mniej więcej do tego: Poetka w zgodzie jest z przyrodą ilekroć ona niesie człowiekowi pożytek, „gdy podaje mu przez fale bisior, bursztyn i korale" i t. d., przeklina ją zaś, gdy rozpętując żywiołowe swe siły zagraża jego życiu. Kończy wypowiedzeniem nadziei, że „postęp sturamienny" zdoła ją ujarzmić, i król-człowiek bezwzględnym jej zostanie panem.

Jakże tu daleko od aryjskiego ubóstwienia przyrody, od mniej lub więcej uświadomionego panteizmu większości naszych poetów.

Wszystkie te wyżej wymienione właściwości talentu Deotymy, czynią poezye jej mało przystępnemi dla szerszych kół, dla zbiorowości tej, którą poeci o arystokratycznym nastroju ducha zowią pospolicie *tłumem*. Deotyma nie była nigdy popularną i w przyszłości rozkoszować się będzie utworami jej tylko garść umysłów zdolnych ocenić piękno jej kryształowych abstrakcyi.

H. C.

(*Dokończenie nastąpi*).

ŚCIGANIE PRAWNE

okrucieństw spełnionych na dzieciach.

Po raz trzeci w dwudziestopięcioletnim okresie czasu wzywane są sfery prawodawcze Francyi, o użyczenie poparcia i opieki prześladowanemu dziecku. W 1874 roku wyszedł zakaz posługiwania się dziećmi w rzemiośle akrobatów, linoskoków, równie jak używanie ich do jakichkolwiek funkcyi przez wędrownych właścicieli menażeryi. Prawo to, jak powiadają, bardzo humanitarne na papierze, w wykonanie jednak nie weszło we Francyi wcale.

W roku 1889 uchwalono prawo, mocą którego pozbawieni być mogą władzy ojcowskiej rodzice niegodni—i ci, którzy z tytułu jakiegokolwiekbądź stosunku gorszą dziecko przykładem, radą i uczynkiem—wszyscy jednem słowem, którzy moralności albo zdrowiu dziecka wyrządzają krzywdę. Pomimo że prawo przeszło większością dosyć znaczną, ma ono licznych nieprzyjaciół, i dlatego można już dzisiaj powiedzieć, że w zastosowaniu nie mogło ono oddać usługi, i w samej rze-

czy nie oddało jej wcale. Administracya powstaje na nie ze względu na koszta, jakie przy wprowadzeniu w życie pociągnąćby za sobą musiało — prawodawcy teoretycy widzą w niem uszczuplenie władzy rodzicielskiej, i nazywają zbyt śmiałem—nie brak mu i innych jeszcze potężnych przeciwników, o których słów kilka powiemy niżej. Fundując się na przykładzie dwóch poprzednich, zapytują twórcy nowego projektu do prawa, który się przygotowywuje obecnie — jakie będą jego losy przypuszczalne?

A tymczasem fakta, które je sprowadziły, należą niezaprzeczenie do wołających o pomstę; zbrodnie, których się występni rodzice dopuszczają w naszych czasach na dzieciach własnych we Francyi, są krzywdą i zniewagą dla cywilizacyi. Tak utrzymują pedagogowie francuzcy—takim językiem przemawia filantropia do ducha francuzkiego, który mimo tego wszystkiego względem wykonania jeśli nie odnośnie do zasady samej, z wielką się zachowuje rezerwą. Tak pisze w sprawozdaniu swojem do francuzkiego przeglądu pedagogicznego p. Barthelemy, z którego referatu podajemy niniejsze streszczenie.

Trudno w istocie jest żądać aby te wszystkie sfery milczeć miały i patrzeć bezradnie, kiedy sądy dostają od czasu do czasu do rąk sprawy tak niemoralne, że przysięgli i sędziowie są w kłopocie, jakie obrażonemu uczuciu ludzkości dać mają zadosyćuczynienie w tych smutnych wypadkach.

Męczeństwo naprzykład małego Piotra Gregoire znalezionego pod portykiem gmachu przy ulicy Vanneau w Paryżu, i zmarłego w szpitalu po paru dniach skutkiem gwałtów, jakich się na nim naturalni jego opiekunowie dopuścili, oburzyło najobojętniejszych ludzi. W bardzo krótkim czasie po tym wypadku wstrząsnęło opinią publiczną inne analogiczne zupełnie wydarzenie. Paroletniego chłopczyka, nazwiskiem Barlet, wziąść musiał znowu w obronę urząd prokuratorski. Ojciec jego bowiem dopuszczał się na nim tortury niesłychanej, sadzając na rozpalonych do czerwoności szczypcach, a to wszystko na żądanie kobiety niegodnej, pod której wpływem pozostawał, a która matką dziecka nie była wcale.

W dodatku trzeba wiedzieć, że prawo na takie przekroczenia nie ma między artykułami swymi kar odpowiednich, jak się pokazuje, bo mimo wielkiego oburzenia opinii i całkowitego współczucia sądów, jakie sprawa wywołała, wyrodny ojciec ukarany został tylko paru miesiącami więzienia.

Twórcom nowego prawa idzie między innemi i oto, aby kary za tego rodzaju przestępstwa były surowsze. No, i stanie się tak zapewne; rodzice występni karani będą ciężej, dajmy na to, że będą karani nawet bardzo ciężko, tylko powiedzmy sobie—zapytuje p. Barthelemy—czy polepszy ten nowy obostrzony artykuł kodeksu karnego dolę dziecka sam przez się? Faktem jest, że przypadkiem tylko ujawnionemi bywają zbrodnie tego rodzaju, że większość ich niezmierna pozostaje w wiecznej tajemnicy, i że ci nakoniec, którzy ich się dopuszczali dotąd, potrafią podwoiwszy ostrożność, ustrzedz się odpowiedzialności na przyszłość. Samo obostrzenie tej odpowiedzialności nie decyduje tutaj jeszcze o skutecznem zapobieżeniu złemu. Rozważmy w czem leży złe, i na co wypadłoby w wykonaniu położyć nacisk największy.

Dziecko nie może się obronić samo — to fakt. Kto go ma bronić? Ojciec, matka, opiekun, krewni? — no, dobrze o tem wiemy wszyscy; tak bywa w niezmiernej większości wypadków i to wystarcza dziecku zupełnie, gdy ma rodziców, krewnych i opiekunów, spełniających to co należy. Ale co począć wtedy, gdy ten ojciec jest pijakiem—gdy matka jest kobietą niegodną—gdy opiekun jest nim tylko dla formy, a krewnym dalszym lub bliższym dogodniejszą byłaby śmierć osierociałego dziecka, niż jego życie, z ja kichkolwiekbądź względów. To są wyjątki – powiedzieć ktoś może. Bardzo pięknie! im rzadsze będą wyjątki takie, tem lepiej dla społeczności, ale tu właśnie idzie o to, jak począć, aby takie wyjątkowe fakta nie pozostawały w cieniu, aby ich nie głuszyły ani uprawniony występek oprawców, ani obojętność organów bezpieczeństwa publicznego, ani zimny egoizm sąsiadów—idzie o to, aby był ktoś, jakaś osoba moralna, instytucya, opinia – aby się znalazła wzmożona gorliwość obywatelska, wreszcie mniejsza o nazwę, byleby można stworzyć dla dziecka obronę w potrzebie, i opiekę wtedy gdy ono jest nieszczęśliwem.

O takiej doraźnej reformie, któraby z ludzi obojętnych na niedolę dziecięcia, zrobiła czułych i dbałych, niema co mówić. Tak szybko nie reformują się społeczności ludzkie. Po każdym podobnym wypadku głośniejszym, oburzenie trwa dni kilka, dajmy na to dłużej nawet; są i wydarzenia, w których stróże bezpieczeństwa muszą winowajcę brać w obronę, aby obrażony uczciwszy instynkt moralny mass nie dopuścił się na nim doraźnej egzekucyi, ale te kilka dni gniewu zbiorowego mija, i rzeczy wracają do dawnego porządku, a ludzie przeciętni do swoich obyczajów i swojej nieinterwencyi w sprawy cudze. Na sąsiadów tedy jak uczy doświadczenie, niema co liczyć w takich wypadkach; wszak latami całemi słyszeli oni jęki katowanego małego Gregoira i tego drugiego Borlet, i zawsze uspakajało się ich sumienie przypuszczeniem, że dziecko musi być uparte i krnąbrne—zawsze pozbywał jeden drugiego tym komunałem, który stanowi uniwersalną w takich razach odpowiedź dla zaniepokojonych płaczem dziecka, że przecież ojciec własny krzywdyby mu zrobić nie mógł.

A jednak bywa i przeciwnie, jak tego dowodzą przykłady, a tu właśnie chodzi o to, aby się dowiedzieć, wiele jest przykładów takich i aby sprawdzić, do jakich granic posuwają się względem dziecka ci, którzy się na nim aktów przemocy dopuszczają. Jakże wyjść z tego błędnego koła?

We Francyi duch narodu stanowczo oświadcza się przeciw temu, aby w sprawie prywatnej, z wyjątkiem rozumie się wypadków szczególnych, spokojny obywatel szukał z własnej inicyatywy dla kogoś pokrzywdzonego opieki i obrony u władz policyjnych, albo urzędu prokuratorskiego. Tak to jest z największą pewnością, i trudno byłoby zwalczać ten obyczaj, w którem jest dużo złego, ale i dużo dobrego zarazem. Ten wstręt jednakże i ta niechęć, mówi doświadczenie poczerpnięte u obcych, ustałyby natychmiast, gdybyśmy zamiast organów władz publicznych podstawili jakiekolwiek stowarzyszenie filantropijne, opatrzone w odpowiednią egzekutywę, a właściwie w charakter świadka — stowarzyszenie bezinteresownie oddane szlachetnemu zadaniu. Te wstręty zwyciężyłby charakter obywatelski instytucyi, a jednostka któraby się do niej udała o sprawiedliwość, zarzutu delatorstwa—niezaprzeczenie jednego z najprzykrzejszych na świecie i najwstrętniejszych, nie ściągnęłoby jeszcze przez to na siebie wcale.

Tak jest, mówią projektodawcy, za granicą – tak bywa w Anglii i Stanach Zjednoczonych, a jakie tam otrzymano rezultaty z takiego zbiorowego wniknięcia w życie prywatne, to najlepiej z przykładów i cyfr zebranych osądzić będziemy mogli. Utworzyły się w niektórych krajach towarzystwa, których członkowie mają sobie przyznane prawo stawania przed sędziami w sprawie o srogości i gwałty, których ofiarą bywają dzieci. Statystyka angielska naprzykład bardzo pouczające podaje cyfry w tym względzie. Dowiadujemy się z niej między innemi, że w roku 1895 Towarzystwu narodowemu opieki nad dziećmi doniesiono o 14,000 wypadkach, z których wyniknąć mogła szkoda dla zdrowia albo moralności dziecka. Z tych 14,000 towarzystwo sformowało tylko 2,098 oskarżeń, a sądy dały zadosyćuczynienie naznaczając kary na 2,500 winowajców. Od 1884 roku aż do 1895 wytoczono przed sądy na żądanie tego Towarzystwa 8,557 procesów, z których wyroki zapadły w 8,135 wypadkach, to znaczy, że oskarżeń słusznych i uzasadnionych było 95%.

W Stanach Zjedn. takie samo wielkie stowarzyszenie Nowojorskie otrzymało skarg 60,000 w ciągu lat 17-tu Zażądało dochodzeń w 21,000 wypadkach, i otrzymało wyroki skazujące na 20,000 winnych.

To co uderza na pierwszy rzut oka w tym mechanizmie sprawiedliwości, to charakter pośredniczący, jaki bierze na siebie stowarzyszenie między urzędem publicznym a istotą bezbronną potrzebującą opieki. Oczywistem jest, że gdyby nawet gorliwość obywatelska pozwalała ludziom udawać się bezpośrednio do władz, to w każdym razie te sądy zarzucone byłyby skargami nieuzasadnionemi, bo jednostka nie ma tyle w tych rzeczach kompetencyi, wiele go może mieć stowarzyszenie, i nie rozróżnia jak ono nieuniknionej surowości od tego, co stanowi nadużycie władzy. To też Towarzystwo opieki nad dziećmi w Anglii od czasu zawiązania się odrzuciło ogółem 45,000 podań, które uznało za niedostatecznie umotywowane, nie sprawdzone, nieudowodnione, albo przesadzone. Ponieważ w Anglii dzięki zawiązaniu się i prawidłowemu biegowi spraw tych stowarzyszeń, skazują sądy za przestępstwa przeciwko dzieciom 1,200 osób rocznie, a we Francyi zapada takich wyroków tylko 56, zapytuje się w Izbach jeden z wnoszących ów projekt do prawa, o którym mówiliśmy, czy istotnie można uwierzyć w to, aby Francya od Anglii o tyle moralniejszą być miała.

Odpowiedź na to musi być przecząca, powiadają jednomyślnie i stronnicy i przeciwnicy prawa zarówno. We Francyi moralność wcale nie stoi wyżej, tylko występek

jest niepomszczony dzięki obojętności powszechnej, albo z powodu niezaradności i braku ducha organizacyi, co do którego, jak widać, Francya daleko pozostaje w tyle za Anglią i Stanami Zjednoczonemi, jak to z tego i z wielu innych przykładów widzimy.

Tak tedy, jeśli agitacya zrobi swoje, projekt do prawa przyjdzie pod obrady izb francuzkich; jeśli te izby zrozumieją jak należy swój obowiązek w danym wypadku, w takim razie bezkarność dotychczasowa dla jednego z najcięższych przestępstw skończy się — notabene zawsze biorąc w rachunek te pojedyncze wydarzenia, w których wina zostanie ujawnioną.

Jeśli filantropia weźmie do serca wezwania ludzi dobrej woli, można się spodziewać, że większa część rodziców, opiekunów i krewnych, przekraczających władzę, będzie pociągana odtąd we Francyi do odpowiedzialności. to znaczy, że występek będzie dajmy na to bez żadnych wyjątków wydobyty na światło dzienne i pomszczony przez sprawiedliwość ludzką. Ale czy to już będzie w takim razie wszystko co do zrobienia pozostaje?

Niestety, to nietylko że nie będzie wszystkiem, czego społeczność ma prawo oczekiwać po reformie, jeśli to wszystko razem wzięte reformą nazwać mamy, ale to nawet jest właściwie mówiąc niczem. Dochodzenie zbrodni i kara, zepsuciu nie zapobiegnie - mnożenie praw karnych obyczajów nie poprawi, a nawet jak utrzymuje ze wszelką słusznością Montesquieu, stanowczo je psuje. W chwili, zresztą gdy samowola pokoleń młodych, każe nam się za obalonym już w znacznej części patryarchatem rodzinnym niejednokrotnie z żalem oglądać, my wotujemy prawa przeciw rodzicom występnym, i wytwarzamy instytucye, których zadaniem wnikać w życie domowe. Wszystko tedy przeciw tej formie związków, która stanowiła dotąd nietykalną samą w sobie warownię, bo nie łudźmy się na chwilę nawet, aby ta kontrola rodziców wyrodnych, w powagę rodzicielską, jako zasadę uderzyć nie miała.

A przytem wszystkiem my jeszcze nie ocalamy nic—nie poprawiamy człowieka, a to właściwie jest zadanie, od którego zacząćby należało. My tylko z jednej strony karzemy występnych, a nie zapobiegamy występkowi wcale— z drugiej strony stawiamy opiekuńczą społeczność w miejsce opieki opartej na prawie przyrodzonem.

Nadto — nic.

K.

Juliusz Zeyer.

Zdrada w domu Han.

Legenda Chińska.

Przełożył z oryginału

MIRIAM.

(Ciąg dalszy).

Na szmer zbliżających się kroków poruszyła lekko głową, jak lotos, gdy zmarszczy się wód powierzchnia, ale oczy jej zostały utkwione na cudownych kwiatach drzewa moszojo Kutaju przystąpił tuż do niej.

— Najsławniejsze kwiaty świata i najczarowniejsza ze wszystkich kobiet łączą tu swe czarodziejstwo, aby upoić źrenice me, rzekł głośno i skłonił nizko głowę.

Zwróciła teraz na niego słoneczne oczy, ale nie uśmiechnęła się i nie odpowiedziała ani na pozdrowienie, ani na pochlebne jego słowa.

Po chwili przemówił Kutaju znowu.

— Jesteś z owych kobiet, rzekł głosem pełnym zachwytu, jesteś z owych kobiet, które pierwszem spojrzeniem podbijają miasta, drugiem całe królestwa, jak śpiewa poeta!

Popatrzała na niego chwilę w milczeniu, potem odwróciła oczy znowu ku kwiatom.

— Czy nie wiesz, iż dzień dzisiejszy może postanowić o twoim losie? ciągnął dalej Kutaju, dotknięty poniekąd jej roztargnieniem. Cesarz poszukuje towarzyszki tronu. Ty byłabyś godna zasiąść przy boku jego. Kto wie, czy nie postanowi tak los — i ja?

Mówiąc to przysunął się do niej jeszcze bliżej i patrzał badawczo w prześliczną zamyśloną jej twarz. Została spokojna, i ani słowo nie wyszło z czarownych jej ust.

— Gdzież zawisły twe myśli tak trwale i nieruchomie, jak drogie kamienie na złotych łańcuchach? zawołał mandaryn z niecierpliwością.

W oczach jej zapalił się złoty uśmiech, a rumieniec przeleciał przez jej twarz jak pyłek różany.

— Myśli moje błądzą, rzekła cicho, i żaden łańcuch ich nie trzyma. Sama nie mam nad niemi mocy. Osamotniały obłok w sinej głębi niebios, wolny jastrząb płynący nad lasem — oto myśl moja. Jak one, nie zna stałych miejsc spoczynku. Powiew wiosny, który jest tchnieniem miłości, unosi ją przez błękity.

— Obłok rozpłynie się w żarach słońca, jastrzębia dosięże strzała, odrzekł Kutaju. Nie jest że słowo „cesarz" dla myśli twych żarem słonecznym, nie jest-że słowo „tron" strzałą, która jastrzębia twego na ziemię strąci? Słodka jest miłość, słodka jest wiosna — ale władza słodszą jest od nich i piękniejszą.

— Przerywasz mi słodkie marzenia, odpowiedziała spokojnie, poruszyła wachlarzem z piór srebrnego bażanta, jakby chcąc słowa jego niby muchy uprzykrzone odegnać, i znowu utkwiła zamyślone oczy na cudownych kwiatach, pojąc się rajską ich wonią. Potem drgnęły jej usta, i cicho jak dźwięk struny, a słodko jak pył jaśminowy spłynął z nich szept: „Ki-konej, ptak słonecznych barw, śpiewa dwakroć do roku. Raz, gdy wszystkie drzewa kwieciem płoną, a potem aż w jesieni, gdy liście opadają. Słyszałam go w domu ojca mego, siedząc w samotnej komnacie, gdy ze srebrnej lampy modry dym ulatał na dwór w ciepłą noc wiosenną, modrzejszą niż ten dym. Ze stropu jej zwisały niepoliczone lampy srebrne, była uroczysta jak ibram poświęcany, i tchnienie wielkich przeczuć przewiewało ją jak woń niebieska. Od onej doby, zapału i radości pełne jest serce moje — ale wiem, że zapłaczę żałośnie, zanim burzę usłyszę jesienną, gdy przy tkaniu wichrów zimowych po raz drugi śpiewa ptak ki-konej."

Głowa opadła jej na piersi, a starzec jak upojony gędźbą jej głosu, jak podbity jej czarem, uczuł, że dawno wyziębłe serce w piersi mu młodnieje. Przysunął się do niej jeszcze bliżej.

— Jesteś piękna—rzekł z zapałem — i marzysz o miłości, jesteś podwójnie piękna—jesteś jako gałąź kwieciem okryta, która jeszcze milej pachnie, gdy rosa ją zwilży!

Dotknął śmiało jej ręki. Zbudziła się z marzeń, i błyskawica niechęci strzeliła jej z oka. Kutaju cofnął się o krok, otrzeźwiał nagle.

— Cnota kobiety nie jest głęboka, jak morze—mędrkował zimno—ale złość jej nie ma końca jak świat. Uraziłem ją. Dumna jest i nienawidzi mnie. O Ziandy, wieniec z lotosów, który ci odebrać chciałem, tkwi znowu pewnie na twojej głowie. Ta dziewa nie będzie nigdy żoną mego pana, a ty zasiędziesz na tronie przy jego boku.

Zupełnie spokojny, zwrócił się teraz do pięknego dziewczęcia i rzekł:

— Daruj, chciałem cię tylko z myśli twych obudzić. Wiesz, że dziś rozstrzyga „sąd motyli," a jesteś bez kwiatów. Jedyna między wszystkiemi nie przeplotłaś dotąd włosów swych wieńcem.

Z temi słowy, podał jej wieniec lotosowy ze wstęgą białą, usianą perłami. Wzięła go.

— Barwa biała, to barwa smutku, a perły są łzami morskich panien—rzekła i włożyła wieniec na głowę.

— Imię twe? — spytał Kutaju z niezwykle złośliwym uśmiechem.

— Czaokiun—odpowiedziała obojętnie i znowu zatonęła w dumach.

Starzec zwrócił teraz kroki z powrotem ku pałacowi.

— Czaokiun i Juenti — szeptał do siebie w drodze—dwa te imiona nie połączą się nigdy, nigdy, nigdy!

Wstąpił po marmurowych schodach na galeryę, która się zwała „gankiem upajających woni." Tam znowu podniósł do ust fletnię i potrzykroć wydobył z niej dźwięk długi, przeciągły. I znowu jakby czarem ożył pałac niezmierny: jedwabne zasłony wszystkich pawilonów, strzelających w błękity, rozsunęły się z szelestem, wszystkie drzwi wysadzane drogiemi kamieniami otworzyły się na ścieżaj, i tarasy, i przejścia napełniły się podwójną, z dwóch przeciwnych stron tryskającą, powodzią młodych niewolnic.

Dziewy, tworzące pierwszy orszak, były odziane w długie szaty szkarłatne, włosy ich były otulone białymi, barwiście wyszywanymi turbanami, ręce ich miękkie jak kwiaty, a zwinne jak ptaszyny, uderzały delikatnie złotemi pałeczkami w dzwonki z dźwięcznych drogich kamieni, a głosy ich, słodkie jako pienie feniksów, wtórzyły cichym śpiewem rozdźwiękom dzwonków. Wietrzyk niósł tę muzykę, podobną brzęczeniu niezliczonych pszczół, przez ciężkie od woni powietrze ogrodu.

Dziewczęta drugiego orszaku były od stóp do głów odziane w tkaniny srebrne, a na głowach niosły srebrne klatki, okryte zawojami. Tanecznym krokiem zeszły się oba orszaki; purpurowe szaty i srebrne tkaniny stworzyły migotliwą mieszaninę, gędźba i śpiew stawały się coraz głośniejszemi a głośniejszemi, kroki coraz żywszemi a żywszemi, aż oba orszaki spłynęły w jeden wir barw, tonów i skoków.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Amerykanki o sobie.

Po sylwetkach mających charakteryzować kobiety rozmaitych ras, szczepów i narodów — po szkicu psychologicznym kobiety hiszpańskiej, skreślonym przez panią Pardo-Bazan—po studyum pani Orzeszkowej o kobiecie polskiej, pani Wangeroff o rossyjskiej, pani Alphonsowej Daudet, która odfotografowała i wyretuszowała Francuzkę, nakoniec po portrecie kobiety rumuńskiej odmalowanym przez koronowaną patronkę kobiecego równouprawnienia, zaczęły napływać szkice, podobizny i portrety więcej lub mniej wierne kobiety amerykańskiej. Ta jak wiadomo przez wielką odległość oceanu zawsze czaruje, pociąga i do naśladownictwa pobudza starsze w cywilizacyi siostry swoje, a jedną z takich próbek dała nam szanowna współpracowniczka naszego pisma w korespondencyi z Paryża streszczającej pracę pani Bentzon o kobiecie amerykańskiej.

Rozumie się, że to wszystko co się pisze w Europie o kobiecie, czytuje i Ameryka także gorliwie; z większą jeszcze pilnością studyuje ona z pewnością to, co się u nas opowiada o niej samej, a ponieważ słuchamy turystek europejskich, śpiewających aż do zerwania głosu hymny na cześć kobiet nowego świata, ponieważ pomieszczamy ich sądy, opinje i oceny, nie widzimy dobrej przyczyny dlaczego nie mielibyśmy zapoznać czytelniczek naszych z tem, co mówi Amerykanka o kobiecie swojej młodej ojczyzny. A priori zarzutu niechęci, stawiać nam jej nie wolno, o powierzchowność sądu, o brak źródeł i nieautentyczność cyfr pomawiać nie mamy prawa tej, której pracę mamy w tej chwili przed sobą, raz dlatego, że zarzuca nas ona faktami, nazwiskami i cyframi, a potem że pisząc do jednego z najpoważniejszych przeglądów francuzkich, podpisuje się na pracy swojej imieniem i nazwiskiem całem i przyjmuje przez to za wygłaszane opinie odpowiedzialność moralną całkowitą. Wreszcie kto wysłuchiwał w skupieniu ducha i w egzaltacyi uwielbień tamtych, niechajże to, co pisze w francuzkiem „Revue des Revues" p. Alicya M. Lawson zechce również z bezstronnością przyjąć do wiadomości.

Wstęp, w którym p. Lawson motywuje konieczność zabrania głosu w tej sprawie takim kończy zwrotem do czytelnika:

„Nie taję tego bynajmniej przed sobą, że moje postanowienie, aby nic nie ukrywać i nic nie osłaniać—aby powiedzieć prawdę całą—taką, jaką ona jest istotnie, że to postanowienie może obudzić surowe sądy ze strony wszystkich umysłów poważnych względem tego cieplarnianego kwiatu cywilizacyi, który się zwie kobietą amerykańską. Przewiduję i to nawet, że sama wywołam niechęci i gniewy, ale nie przypuszczam, żeby ktoś był w stanie zaprzeczyć przytoczonym faktom, albo prostować podawane przezemnie cyfry. Tego nie przypuszczam i nie przewiduję, bo to byłoby niemożebne. A jeśli rodaczki moje dołożą dobrej woli i zechcą się przejrzeć w skreślonym przezemnie portrecie, uważać będę, że praca moja bezowocną nie była."

Tyle p. Lawson o pracy swojej, a teraz streśćmy to, co nam podaje z tem poręczeniem swojem, które jak widzimy nie zapowiada jąkania się i owijania w bawełnę.

Niema—mówi amerykańska autorka — lepszego kryteryum do sformułowania sobie sądu o kobiecie, jak kiedy weźmiemy pod rozpoznanie jej udział w jednem z najważniejszych zagadnień życiowych. Oczywiście, małżeństwo jest celem i kresem pożądań kobiety zarazem, zobaczmyż jak ona traktuje to małżeństwo. Jeśli mówimy o żonie i matce — mówimy o kobiecie. To co wypadnie w stosunku małżeńskim i macierzyńskim ku jej zasłudze albo ku jej potępieniu, podniesie albo potępi kobietę.

Pierwszym objawem, który uderzyć musi każdego, kto się życiu rodzinnemu w Ameryce przypatruje badawczo, i kto je sądzi bezstronnie, jest niesłychana mnogość rozwodów.

Ponieważ autorka nie jest przekonaną czy europejski czytelnik ma jakiekolwiek pojęcie o ustawach amerykańskich, przeto na początek daje mu treściwy szkic tych ustaw o tyle, o ile one dotyczą prawa o małżeństwie. Rzecz się ma tak:

Każdy prawie z 49 Stanów wchodzących w skład Federacyi Amerykańskiej ma własną autonomię. Praw o małżeństwie nieledwie tyle tutaj, wiele stanów. Jeśli Illinois i 12 innych stanów idąc za jego przykładem, uznają tylko 8 punktów pociągających za sobą unieważnienie małżeńskiego związku, to Kentucky, Florida, Wyoming, Kansas i Arkansas, mają tych paragrafów 9, a pomiędzy nimi jest jeden taki, który mówi o wspólnem zgodzeniu się, jako o motywie zupełnie wystarczającym. Ohio i Mississipi mają punktów rozwodowych 10. Jokohama ma wprawdzie tylko 6, ale za to nie żąda od stron procesujących się więcej jak 30 dni przebywania na swojem terytoryum, co w krainie *businessu* gorączkowego niezmiernie wiele warto. Nebraska, Texas, Kalifornia, Idaho, Wyoming i Newada są surowsze, bo rozdzielają tylko takie stadła, które przeżyły w ich jurysdykcyi 6 miesięcy, a Illinois wymaga roku całego. Massachussets jest nieubłagany, bo nie chce słyszeć o rozwodzie bez certyfikatu zamieszkiwania przez lat 5. Nawiasem mówiąc stan ten używa w Unii bardzo złej sławy, i nacisk, jaki się robi w tym duchu daje nadzieję, że prawodawstwo tak wsteczne będzie tam w krótkim czasie zmienione. Carolina jedna nie uznaje wcale rozwodu. W tej prowincyi ludzie rozwiedzeni, a wstępujący w powtórne związki uważają się za bigamów prostych, ale też i to jest pewnem, że Carolina wyludnia się z roku na rok.

Trudno byłoby uwierzyć do jakiego stopnia tą różnica w prawie rozwodowem idzie ręka w rękę z kierunkiem wychowania i wykształcenia kobiecego. Dziewczęta stanów północnych—tych najliberalniejszych, kształcą się jak chłopcy, i cenią sporty jako czynnik podstawowy życia; Południe wychowuje kobiety bardziej po europejsku, a w Kalifornii przed laty kobieta rozwiedziona liczyła się właściwie poza społecznością. Dosyć dalecy są od tego dzisiejsi mieszkańcy tego stanu. Bez najmniejszej ironii winszuje sobie jeden z Przeglądów wychodzących w San-Francisko, że na 2,000 małżeństw zawartych tam w roku minionym, wypadło tylko 641 rozwodów. Tylko — to znaczy, że cyfrę tę uważa się jako niską. Stany wymagające krótkiego czasu zamieszkania do przyznania stronom wyroku rozwodowego, mają frekwencyę wielką, co ożywia interesa. Tak naprzykład, tłumnie zjeżdżano się w ostatnich czasach do Dakoty, a nawet w jednym z pierwszorzędnych hoteli korytarz pewien nazywał się korytarzem rozwodów, czego gospodarz, typowy Yankes, nieomieszkał oczywiście zużytkować w rozsyłanych setkami tysięcy prospektach i anonsach swoich.

Rozwód tedy praktykowany jest w Ameryce na wielką skalę, i co dla nas najważniejsze, to że 80 na 100 pozwów rozwodowych doręcza tutaj kobieta, co znaczy, że przy tem rozejściu się rola mężczyzny jest prawie zawsze bierną. Jego to ani martwi, ani zachwyca — poprostu jest mu to obojętnem. Kiedy mu się znudzi żona własna, nie koniecznie potrzebuje robić sobie tyle ambarasu, żeby się miał aż rozwodzić prawnie i formalnie—bierze więc sobie inną i na tem się ogranicza. Jeżeli ona nie gniewa się o to, to wzamian za ustępstwo takie, i on gotów jest koncessyę do ostatnich granic posunąć, i wielu też małżonków dziwiło się szczerze, kiedy im doręczono pozwy rozwodowe, bo oni za faktycznie i radykalnie rozwiedzionych uważali się od bardzo dawna. Te dane wypada poprzeć cyframi.

Jeśli weźmiemy przeciętną cyfrę rozwodów zadeklarowanych w latach ostatnich, znajdziemy: że Massachussetts z jego ludnością 180,000 głów, ma rocznie rozwodów 600 — Connectitut 470 — Maine 437 — New-Hampshire 241 — Vermont 187 — Rhode Island 196.

(*Dokończenie nastąpi*).

KRONIKA.

Zapisy.

Legaty ś. p. Edwarda Czabana na cele edukacyjne wynoszące rs. 65,000 uzyskały już zatwierdzenie Ministeryum oświaty ze wszystkiemi zastrzeżeniami przez testatora wskazanemi. Część legatów obejmująca cele edukacyjne, zawiera pozycye: 5,000 rs. na szkołę rzemiosł imienia Konarskiego — 30,000 rubli na utworzenie 10 stypendyów dla studentów uniwersytetu warszawskiego i 30,000 rubli na 10 stypendyów przy gimnazyach klasycznych lub szkołach realnych w Warszawie. Chce mieć ostatnia wola zapisodawcy, aby kandydaci do tych wszystkich zapomóg byli wyznania rzymsko katolickiego, aby byli stałymi mieszkańcami Królestwa Polskiego lub gubernii zachodnich.

Zmarły w pierwszych dniach Maja r. b. w Montreux tutejszy adwokat przysięgły ś. p. Kazimierz Szpecht cały swój majątek wynoszący z górą 50,000 rs. zapisał na rzecz kasy pomocy naukowej imienia dr. Mianowskiego.

Przed laty piętnastu ś. p. ksiądz Wojciech Bąkalski zapisał majątek swój wynoszący około rs. 18,000 na rzecz domu księży emerytów. Ponieważ instytucya taka istniejąca w Łowiczu została skasowana, przeto skarb udzielający emeryturę księżom schorzałym uznał za stosowne zapis ks. Bąkalskiego wcielić do tych funduszów emerytalnych. Spadkobiercy jednakże ofiarodawcy wystąpili z procesem żądając unieważnienia zapisu, a to z tytułu, że instytucya nim objęta obecnie nie istnieje. W sądzie Okręgowym naturalni spadkobiercy testatora przegrali, druga natomiast instancya unieważniła wyrok sądu Okręgowego, przyznając słuszność zasadzie w imię której oni wystąpili, zasądzając im przytem 723 rs. kosztów sądowych od skarbu.

Zmarły w Maju r. b. w Warszawie ś. p. Antoni Stachowski obywatel ziemski, testamentem swoim otwartym w sądzie Okręgowym pod datą 13 b. m. oprócz legatów dla bliskiego rodzeństwa zapisał 10,000 rs. do rozporządzenia krakowskiej Akademii Umiejętności z prośbą, aby procent od tej sumy wypłacała Akademia jako stypendyum studentowi wszechnicy Jagiellońskiej wydziału lekarskiego z pierwszeństwem dla krewnego lub powinowatego zapisodawcy, a w razie braku takiego kandydata, szlachcicowi wyznania rzymsko katolickiego urodzonemu w kraju zachodnim lub w Królestwie. Pierwszeństwo do otrzymania stypendyum służy na terax kandydatowi przedstawionemu przez brata nieboszczyka, p. Michała Stachowskiego lub jego sukcesorów.

Słownik języka polskiego.

Otrzymujemy nader pożądaną wiadomość rozpoczęcia nowego słownika języka polskiego, który po upływie lat kilkudziesięciu od ukazania się pierwszej u nas w tym rodzaju próby Samuela Bogumiła Lindego, był w istocie naglącą koniecznością.

Słownik wychodzi pod redakcyą pp. Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego i Władysława Niedźwiedzkiego, a na całość współpracownictwa złożyły się u nas pióra powszechnie znanych specyalistów na polu rozmaitych gałęzi wiedzy i znawców biegłych naszej mowy ojczystej. Ze względu też na liczne uczestnictwo w opracowaniu tego ze wszech miar pożądanego dzieła, nie jesteśmy w możności służyć czytelnikom kolejnem wymienieniem nazwisk jego członków, to wszakże uważamy sobie za obowiązek powiedzieć, że niema między nimi ani jednego, któregoby do mniej znanych ogółowi zaliczyć można, i że jeśli jaka praca zalecała się uwadze i poparciu ze strony publiczności, jeśli jaka dawała rękojmię sumiennego wywiązania się z założenia, to z pewnością największą ta, za którą w tej chwili z głębi przekonania przemawiamy. Przyczynia się do tego jeden jeszcze wzgląd arcyważny, który zechcą niewątpliwie czytelnicy ocenić wedle jego realnej wartości. Oto słów kilka objaśnienia, które na pierwszym arkuszu próbnym daje publiczności od siebie komitet redakcyjny:

„Wydawnictwo Słownika języka polskiego nie jest niczyją spekulacyą; redakcya jego pracuje bezinteresownie, a własność dzieła przekazała kasie imienia Mianowskiego. Podpisanym zaś (wymienionym na wstępie. Red.) wydawcom, chodzi tylko o pokrycie z przedpłaty kosztów rękopisu, druku, stereotypów i papieru. Ztąd też i cenę słownika oznaczyli oni niezwykle nizką, bo po 4 kop. za arkusz 16 to stronnicowy wielkiego formatu, a drobnego druku. Całość dzieła obejmie 240 16-stronnicowych arkuszy i podzielona będzie na 4 grube tomy. Mamy nadzieję ukończyć je w ciągu lat 4 do 5 ciu, ogłaszając mniej więcej po 5 zeszytów 10 cioarkuszowych rocznie.

„Cena całości wynosi w przedpłacie na miejscu rs. 10; po ukończeniu druku podnosi się do rs. 12. Cena jednego zeszytu kop. 50. Koszta przesyłki w tomach zwracać sobie będziemy obciążeniem pocztowem prenumeratorów; na przesyłkę jednego zeszytu załączać należy 25 kop. Zeszyt I ukaże się w Lipcu r. b.“

Wydaje się istotnie, powiemy od siebie, że nie powinno być u nas mniejszej nawet zamożności domu, w którymby się to wydawnictwo znaleźć nie powinno.

Sprawy miejskie.

Jak zapewnia „Wiek,“ nader ważna dla Warszawy reforma w komunikacyi wewnętrznej miasta została w ubiegłym tygodniu na posiedzeniu rady magistratu ostatecznie zdecydowaną. Idzie o to, że wobec narzekań mieszkańców na niedostatek linij tramwajowych i braku wagonów na tych, które istnieją, z jednej, a uchylanie się eksploatującego komunikacyę tramwajową Towarzystwa belgijskiego od zadość uczynienia tej potrzebie z drugiej strony, magistrat powołując się na przysługujące mu prawo przyjęcia na siebie komunikacyi miejskiej i zaspokojenia dotychczasowych jej eksploatatorów, powziął na wzmian kowanem posiedzeniu odpowiednie postanowienie.

Skup przedsiębiorstwa kolei konnej ma się odbyć w sposób następujący: Towarzystwo obowiązane będzie przedstawić dane, wykazuje dochód czysty w okresie ostatnich pięciu lat, a z tak sprawdzonego wyrachowania przystąpi magistrat do ustanowienia cyfry indemnizacyi, jaka Towarzystwu belgijskiemu przypadnie. Następnie magistrat wypuści przedsiębiorstwo więcej dającemu z zastrzeżeniem przerobienia tramwajów konnych na elektryczne, po utworzeniu w Warszawie elektrycznej stacyi miejskiej, niemniej zobowiąże się nowy kontrahent do zbudowania nowych linij, które mu będą wskazane. Wszystko to ma przyjść do skutku przed końcem roku bieżącego.

Leczenie.

Utworzona w radzie miejskiej dobroczynności publicznej komissya, mająca zebrać materyały do sprawy rozszerzenia szpitali warszawskich, ukończyła już swoje czynności. Z tych obrad i zebranych danych statystycznych dowiadujemy się, że w istniejących obecnie dziewięciu szpitalach warszawskich jest miejsce na 1845 chorych, po ukończeniu zaś budującego się obecnie szpitala Dzieciątka Jezus obszerniejszego niż jego dotychczasowy poprzednik na placu Wareckim, liczba łóżek dojdzie do 2,190. Nie będzie to jednakże wystarczającem i dlatego komissya proponuje powiększenie po nad tę ostatnią cyfrę jeszcze o 410 łóżek. Dla otrzymania pożądanej ilości miejsc wolnych, komissya proponuje uwolnić szpitale miejskie od paralityków, chroników i schorzałych, których utrzymanie w przytułkach będzie tańsze. Należałoby nadto zdaniem komissyi, utworzyć osobny oddział dla chorób zakaźnych dziecinnych i oddział dla chorych nerwowych na 50 łóżek—wreszcie rozszerzyć wszystkie pozostałe szpitale.

Szkoła.

Z przyszłym Nowym Rokiem szkolnym tutejsza szkoła mechaniczna Wawelberga i Rotwanda otwiera 4 i ostatni kurs, na którym w programie, oprócz powiększonego wykładu technologii mechanicznej, przybywają jeszcze wykłady: fizyki z elektrotechniką i technologią chemiczną. Nadto oprócz zajęć praktycznych w laboratoryach i warsztatach szkolnych, na rysunki techniczne wyznaczono tygodniowo godzin 12.

Wskazówki i rady.

Pulpety z móżdżku.

Jeden móżdżek cielęcy odgotować w wodzie z solą i octem, obciągnąwszy na surowo błonkę. Wziąść łyżkę masła, utrzeć w donicy na śmietanę, móżdżek ostudzony pokrajać w kawałki i jeszcze oczyścić, aby żadnej żyłki czarnej nie było, włożyć w utarte masło i rozcierać dobrze; gdy już nie znać kawałków, wbić cztery żółtka po jednemu, za każdem rozcierając dobrze, wsypać soli, pieprzu, a gdy wszystkie żółtka wbite, włożyć kładąc po trochu sztywną pianę, ubitą z pozostałych czterech białek i znowu wiercić, aż prawie sztywne będzie. Mieć na patelni rozgrzaną fryturę i rzucać na nią łyżką, jak francuzkie kluski, ale o ile można okrągło biorąc, żeby wyglądały jak pulpety; gdy się troszkę zrumienią, wyjmować łyżką durszlakową i kłaść w wazę, gdzie już jest przecedzony rosół lub barszcz. Koniecznie należy tę ostrożność zachować, gdyż lejąc rosół na pulpety pogniotą się i nigdy tak ładnie wyglądać nie będą. Można zamiast cielęcego użyć wołowego mózgu, biorąc go połowę. Frytury musi być dużo.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i Nowości sezonowe fabryki Heinzla i Kunitzera w Łodzi.

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Мая 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego Redaktor i Wydawca Jan Skiwski DODATE…

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Na dwa nawet, ale o tem nie warto mówić; lekarz pułkowy wyliczył zapewne, że tyle czasu będę potrzebował, na wygojenie mego zadraśnięcia. Dla podobnej drobnostki, pułkownik nie byłby zadawał sobie pracy pisania listu. Nie o nas tu chodzi. Szanowny mój korespondent donosi, że całą dzisiejszą sprawę bierze na siebie, zapewnia, iż na nikogo nieprzyjemne skutki nie spadną, ale zarazem prosi i radzi, aby gospodarz dla odwrócenia uwagi policyi, o ile możności jak najkrócej bawił we Lwowie.

— To dobrze — odezwał się Wilczek — racz rotmistrzu podziękować odemnie pułkownikowi za jego troskliwość i poślij mu odpowiedź, że jutro ze świtem wyjeżdżam na wieś.

— Otóż tu właśnie sęk!—rzekł Hoszwary— pułkownik daje do zrozumienia, że jutro byłoby może za późno.

— Tak mówi?... każ mu zatem oświadczyć, że dziś, zaraz, natychmiast wyjeżdżam. Panowie! po takim dniu jak dzisiejszy, następne mdłymi by się wydały; na szczęście, jesteśmy razem, to mi oszczędzi pożegnalnych odwiedzin.

— Jeżeli jednak nie na rękę ci bezzwłoczny wyjazd, wtrącił Mysłowski, może jaki zaradczy środek dałby się wynaleść; zaczekaj— pójdę do Gubernatorowej; jesteś u niej w faworze; będę ją błagał, aby wyrobiła ci u męża ułaskawienie.

— Daj pokój—rzekł Juliusz—Wilczek nie chciałby może zapłacić ceny, jaką gubernatorowa nałożyłaby na łaskę męża.

— Rozumiem — zawołał Skałka z grubym domyślnym uśmiechem; ja wam podam inny sposób: oto zabierzmy ze stołu butelki, z kuchni rądle, i chodźmy odśpiewać pod oknami gubernatora chór błagalny przy towarzyszeniu kuchennych narzędzi.

— Dziękuję wam za dowody waszej przyjaźni — rzekł Wilczek — w tej chwili niepodobna mi z niej korzystać. Uwiadomienie pułkownika nie jest urzędowem ale przyjacielskiem. Idzie o to, aby nie rozmazywać dzisiejszej sprawy, aby puścić ją w niepamięć. Dla nas cywilnych, skutki byłyby mniej przykrymi niż dla naszych gości, którzy, jak wiecie, ulegają surowszym prawom. Wreszcie nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Pułkownik jak gdyby odgadł, że nam brakowało treści do toastu, nastręcza sposobność wypicia strzemiennego. Hola! jest tam który?... Jędrzeju, policz ile osób i każ przynieść tyle butelek, tego oto ostatniego — ruszaj! Jędrzej odchodził. Zatrzymaj się, zaczekaj. Poślij natychmiast na pocztę. Za godzinę, powóz wypakowany i zaprzężony musi stanąć przed bramą. Tylko ostrzegam, nie zapomnij o niczem. Przed wyjazdem wstąp do modniarki, zapytaj, czy zamówione sprawunki gotowe? Chustki moje do nosa czy poznaczone?—krzyknął panicz za odchodzącym sługą, w obawie, aby ostatnie jego słowa nie naprowadziły obecnych na niepotrzebne domysły.

Pierwszą połowę rozkazów Wilczka natychmiast wypełniono; wniesiono żądane butelki; każdy z biesiadujących poddał się tak słusznemu podziałowi pracy; wesołość przytłumiona na chwilę niewczesnym listem pułkownika, znowu wybuchnęła przedzgonnym jaskrawym płomieniem.

— Zostawiasz nas sierotami!—mówił Skałka ze łzą w oku—Władziu, pozwól niech cię raz jeszcze uściskam; Bóg wie, kiedy się zobaczymy.

— Co mówisz, kapitanie?... wyjeżdżasz z kraju? lub co gorsza, miałżebyś zamiar całkiem wynieść się z tego świata?

— Wolne żarty Władziu; przypadki chodzą po ludziach; człowiek dziś zdrów jutro w rów. Władziu, przed odjazdem pozwól niech cię z całego serca uściskam! jakieś przeczucia uczepiły mnie za gardło.

— Jeżeli nie trafniejsze od tych, na jakie dziś z rana naprowadziły cię narowy siwosza i stłuczona filiżanka, mam nadzieję, że nie ostatni raz padam w twoje objęcia.

— Z tem wszystkiem jednak — dodał Juliusz — niepotrzebnie nam cię odbierają; bylibyśmy swobodnie kilka jeszcze dni razem zabawili; bez ciebie życie nasze torby sieczki nie warte.

Wilczek uderzył ręką w stół dla obrócenia na siebie powszechnej uwagi.

— Panowie!—rzekł—wiedziałem dotąd, że prawda kryje się na dnie kieliszka, ale nigdy nie mogłem wybadać na dnie którego z porządku. Otóż teraz zdaje mi się, że tym wyrydykiem jest przedostatni. Na dowód, słuchajcie jaka myśl przyszła mi do głowy. Rozpędzają nas, aresztują rotmistrza i zacnych jego towarzyszów—słowem, odosobieniem i nudami chcą nas sprzątnąć z tego świata. Na nieszczęście atoli naszych prześladowców, trafiła kosa na kamień. Co szlachta polska i węgierska połączą, tego policya lwowska nie powinna rozrywać.

— Do rzeczy Władziu, do rzeczy! — wołał Skałka — niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli słowo rozumiem.

— Zgoda, krótko mówiąc, od dziś za dwa tygodnie, pochlebiam sobie, że u mnie na wsi, zechcecie zaszczycić Władysława Wilczka waszą obecnością. Wyprawię wam małe polowanie. Zawczasu zapowiadam, że nie będziem bankietować; nie ma u mnie zbytku, ale czem chata bogata tem rada? Jakże? czy mam spodziewać się szanownych gości?

Skałka z trudnością dzierżył się na nogach; uczuł nadto, że nie oprze się rosnącemu coraz wzruszeniu i zaryczał głośnym płaczem:

— Co? czy przyjedziemy?... kochany Władziu, zestarzejemy, poumieramy u ciebie... na mój honor!... to mi prawdziwe szlacheckie dziecko!... żyj setne lata!... wiwat!... hura!... Władziu!... łotrze nad łotrami, niechże cię uściskam!

— Zgoda, zgoda! przyjedziemy, obiecujemy! — odpowiedzieli oficerowie i młodzież polska.

— Tego mam za szelmę, kto się nie stawi na słowie.—wrzasnął Skałka.

Ale gwar do tego stopnia już powstał, że nikt nie uważał na troche rażące warunki kapitana; ostatnie butelki leżały już wywnętrzone pod stołem; Jędrzej ubrany po podróżnemu, wszedł podając panu szubę; Wilczek uścisnął kolejno obecnych, zbiegł, rzucił z powozu jeszcze jedno pożegnanie, raz jeszcze powtórzył obietnicę przyjazdu i zaprosiny; pocztyljon zatrąbił i niebawem daleki tylko odgłos trąbki oznajmiał o kierunku, w jakim się panicz oddalał.

III.

Sokolnik był sam.

Powszedni, właściwy naturze jego ducha wyraz, twarz mu zalegał; pod nachmurzonemi brwiami znikła wczorajsza pogoda oczu, pod zmarszczkami przepadł uśmiech na chwilę go podczas balu nieodstępujący.

Na drodze życia, równie jak każdy człowiek, i on spotykał zawady. W młodości lekko je przeskakiwał, w dojrzałym wieku siłą roztrącał, teraz jednak, gdy włos mu pobielał, a przeszkody głębiej w ziemię wrastały—wyżej i częściej się przed nim wznosiły, poczuwał brak przezwyciężających je środków. A tu niepodobna było obniżyć tonu przybranego od początku życia, a tu ciężyły mu na głowie wymagania wszechwładnej żony, a może i dręczyły serce, szczęście i przyszłość córki jedynaczki.

Urodzony w pańskich pieluchach, ze znakomitem w kraju nazwiskiem i z hojnie wystarczającym do utrzymania go majątkiem, miał swobodnie rozsiąść się na wezgłowiach swego światowego położenia i starać tylko o utrzymanie dawnego splendoru domu, lub o przyczynienie mu blasku zyskanymi przez siebie zaszczyty.

Taką przynajmniej przyszłość marzył dlań ojciec jego, pan kasztelan przemyski, który w tym celu wyłącznie, dał synowi stosowne wychowanie.

Było to właśnie podczas owych ciężkich przedletargowych chwil Polski.

Pan kasztelan z razu nieuradowany z wyniesienia na tron równego mu szlachcica, w kilka dopiero lat dał się udobruchać; szczerze jął się partyi królewskiej i później z rozrzewnieniem nawet przyjął dwie gwiazdy Orła Białego i Stanisława, które spadły mu na piersi.

Powoli przyzwyczaił się widzieć w Poniatowskim urodzonego króla, wynalazł (co mu przyszło z łatwością) pokrewieństwo między swoją rodziną a Ciołkami, rozpiął więc nad sobą szmatę baldachimu królewskiego i usiłował wcisnąć się chociażby pod kawałek

łachmana monarszej purpury. Usiłowania te wywierały na okolicznej szlachcie wielkie wrażenie. Pan kasztelan podrósł o trzy łokcie, gdy sprowadziwszy z Warszawy kopję wizerunku królewskiego Bacciarellego, pokazywał ją sąsiadom i porównywał z portretem swojej babki, upatrując familijne podobieństwo, to w oczach, to w ustach, w ręce lub w składzie głowy.

Podobne pierwsze pojęcia odbijały się o umysł syna, który w dziecięcych latach widział tylko dwie postacie rysujące się na widnokręgu jego wyobraźni: króla Stanisława w Warszawie i ojca w galicyjskim jego pałacu. Żadnego z nich osobno nie pojmował; zdawało się mu, że jeden był dopełnieniem, koniecznym warunkiem bytu drugiego.

Tymczasem nowe burze na kraj nadciągały. Smutne jakieś dźwięki przelatywały przez powietrze; wiatr żałośniej jęczał na ziemi polskiej; kwiaty od słońca, od dżdżu więdły w samych zawiązkach, po chmurnem niebie przeciągały długie klucze tęsknych żórawi, cmentarne jakieś wyziewy truły wiosenne oddechy; i nie mogło być inaczej. Przesławna Polska waliła się z swych posad, i jeżeli byli ludzie obojętnie na powaloną poglądający, serdeczniejsza od nich natura mnogiemi zjawiskami objawiała bolesny przestrach.

Po ostatnim rozbiorze kraju, Austrya, która bez dobrodziejstwa inwentarza część swoją przyjmowała, otrzymała także kasztelana wraz z jego majątkami.

Pan kasztelan nie miał co czynić w kraju tak dalece ogołoconym z przyzwoitej narodowej reprezentacyi, z przyjemnością więc poglądał na podwyższenie towarzyskiego swego stanowiska, oczywiście bowiem, z poddanego królewskiego przechodził na apostolsko-cesarskiego, czczą zaś godność kasztelańską zamieniał na dziedziczny tytuł hrabi państwa rzymskiego. Słodkie to uczucie tem goręcej go przejmowało, że jejmość pani kasztelanowa, z domu starościanka Ustrzycka, jeszcze w 1776 roku, obdarzyła go była jedynakiem, który tym niespodzianym przewrotem ojczystej fortuny, z drążkowego kasztelanica nagle budził się hrabiczem jak najrzeczywistszym.

Ojciec z dumą poglądał na malca; nie mógł dla dobra dziecka, dość nacieszyć się przemianą politycznego położenia.

W istocie, chłopiec dawniej byłby pod wąsem a zawsze nazywano by go kasztelanicem, chyba sam, własną zasługą czegoś lepszego byłby się dochrapał; dziś malec jeszcze z pasków nie wyszedł, już był zupełnym hrabią— niby słuszna jaka osoba.

Tu nastręczał się trudny sęk do rozbicia. Kasztelan często łamał sobie głowę, jakieby wychowanie dać paniczowi, który z Sarmaty posunął się na Austryaka.

Los pomyślny nie opuścił zafrasowanego ojca. Francya właśnie kipiała wówczas najgwałtowniejszym warem i szumowiny swojej ludności wyrzucała za granicę nowych departamentów. Zaczem pudrowane markizy i wiskontowie, szewaliery i l'abbowie, w tancmistrzowskich podskokach unosząc przed rozmachaną gilotyną fryzury i głowy, upstrzyli Niemcy, a nadewszystko, na roścież zawżdy dla cudzoziemców otwartą słowiańszczyznę.

Szczęście wniosło w dom kasztelański jednego z takich labbów, czyli jak ich nazywano labusiów.

Pan kasztelan nie posiadał się z radości; labbe wyglądał na człowieka wyżytego w świecie, słyszał był już przedtem nieco o Polakach, w Paryżu bowiem znał był przed laty kawalera Boufflers i przyjaciela jego szambelana Trembeckiego, Delilla polskiego, który północną swoją naiwnością i zakrojem dowcipu, przez niejaki czas zawracał głowy najpiękniejszym kobietom stolicy.

Labbe Lasini (z włoskiego znakomitego rodu pochodził, głosił się nawet krewnym Mazarinich) z niewypowiedzianą pociechą kasztelana, wtajemniczonym był do wszystkich prawie zabawniejszych intryg francuzkiego dworu. Pamiętał świetne czasy pani Dubarry, przywiózł był z sobą jedną jej rękawiczkę i błękitną kokardkę, o której pochodzeniu mówiąc, z uśmiechem wspominał godło pierwszego angielskiego orderu.

Temu to prałatowi kasztelan powierzył syna z duszą i z ciałem. Czas niebawem przekonał, że czuły ojciec nie zawiódł się w swoich oczekiwaniach.

Młody hrabia w pietnastym roku życia, według zaręczeń Lassiniego przywodził mu na pamięć błyszczącą francuzką młodzież. Fechtował się jak St. Georges, tańczył jak Vestris, dwa te talenta sam Lasini w wysokim stopniu posiadał, z jakim zaś wdziękiem niedbale rzucał się nawznak w krzesło i założywszy nogę na nogę, prawił damom grzeczności, o tem trzeba było naocznie się przekonać, gdzież bowiem pióro zdolne oddać motylkową lekkość zachwycającego panicza?...

Z historyi powszechnej młody hrabia nauczył się od swego mentora ważniejszych przygód zaszłych w Trianon, w Jelenim Zwierzyńcu, życiorysów La Valliery, pani Pompadour, księżnej Châteauroux; z narodowej znał na palcach własny rodowód po mieczu i kądzieli i ważniejsze zdarzenia, jako też dowcipne słowa w różnych nagłych okolicznościach, trafnie przytoczone przez antenatów. Głównie, co mu też w świecie nadawało przewagę, celował w kilkowyrazowych, dziwnie zwięzłych określeniach. Gdy się zgadało o Bogu, o życiu zaświatowem, o ojczyznie, o społeczeństwie, o sławie, lub w ogóle, o jakimkolwiek uczuciu, o jakiejkolwiek zasadzie, kasztelanic czyli raczej hrabicz, jednym krótkim frazesem, ale w którym zawierał bezmiar najzabawniejszych spostrzeżeń, wszystkim zamykał usta. Nie było co odpowiedzieć; najściślejsze rozumowania w same piersi przebijał szpadką swego dowcipu, czasami wprawdzie z przerażeniem kobiet dawnego autoramentu, ale zawsze z powszechnym aplauzem mężczyzn.

Kasztelan pomyślił że grzechem było taki klejnot zamykać w domowym skarbcu i nie poszczycić się nim przed światem.

A propos!... zapomniałem powiedzieć, że śród tych pedagogicznych zatrudnień, pani kasztelanowa umarła; pochowano ją w familijnym grobie. Lasini miał na pogrzebie długą francuzką mowę; wszyscy obecni, a nawet sam ekonom, zanosili się od płaczu.

Kasztelan więc powtarzam, chciał wyprawić syna na widownię świata, sam zaś ukryty w kulisie swego pałacu, poić się rzęsistemi oklaskami publiczności. W tym celu, pewnego wieczora kazał przywołać do siebie Lasiniego.

Mentor wszedł; zastał kasztelana rozciągniętego w obszernem Wolterowskiem krześle.

— Mości labbe—rzekł mu stary dygnitarz— mam z tobą do pomówienia o nader ważnych rzeczach.

— Słucham z głęboką uwagą—odparł Lasini, rozkraczywszy się przed kominkiem i obracając w dwóch palcach tabakierkę złotą z portretem jakiejś piękności w mitologicznym stroju.

— To dobrze; znam waszą francuską pojętność; wiem, że czego nie potrafię wypowiedzieć, sam w myśli dopełnisz.

Francuz lekko skłonił głowę.

— Dotąd byłeś nauczycielem mego syna. Dzięki zobopólnym naszym staraniom, wychowanie zupełnie nam się powiodło. Dziś, chłopiec wyrósł z lat dziecinnych i nie pedagoga potrzebuje, ale przyjaciela. Nie wątpię, że nowemu powołaniu jak najdoskonalej odpowiesz.

Lasini strzepnął z żabotu źdźbła hiszpańskiej tabaki.

— Krótko więc i węzłowato, od razu przystępuję do rzeczy. Syn mój głowę ma już należycie umeblowaną; czas go wyprowadzić na świat, gdzie tuszę, że oba za niego się niepowstydzim. Kiedy mówię o świecie, pojmujesz, że nie rozumiem przez to ani Lwowa, ani Warszawy głuchej od czasu jak ją opuścił najmiłościwszy kuzyn mój i król — ale Wiedeń. Za kilka dni wyprawiam was do Wiednia; pomyśliłem jakby wam przygotować pochlebne przyjęcie i rozpisałem potrzebne ku temu listy. Książę Kaunitz, któremu w ostatnich krajowych wypadkach, miałem zaszczyt oddać pewne ważne usługi, łaskawie raczył mi obiecać, że weźmie syna mego na swoją porękę, a nawet zbliży go do cesarskiego majestatu. Za jego pośrednictwem, wejdziecie w pierwsze towarzystwa, będziecie ocierać się o najznakomitsze w państwie osoby; pamiętaj więc, aby chłopiec nasz wszędy znajdował się jak wypada na potomka znakomitej rodziny, spokrewnionej niegdyś z tronem polskim — aby zyskiwał sobie fawor ludzi mających wpływ u dworu i unikał niepotrzebnych znajomości, a nadewszystko zgubnych pojęć, jakiemi ojczyzna twoja świat teraz zapowietrza.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-34

Gabinet-dentystyczny.
ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-12 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

FABRYKA SZCZOTEK i PĘDZLI
M. TENCERA
WARSZAWA, Krakowskie - Przedmieście Nr. 39 (obok hotelu Saskiego).
i Senatorska Nr. 22 (róg placu Teatralnego).
Sprzedaż hurtowa i detaliczna po cenach umiarkowanych. 671—50-45

Nowo-otworzony Magazyn Mód
L. ZIELIŃSKA
11. NIECAŁA 11, I piętro. 692-40-38



FABRYKA GORSETÓW 869-12-3
WILHELMA STEINER
Ś-to Krzyzka 34 róg Jasnej.
Najlepsze materyały, najświeższe fasony, ceny przystępne. Na prowincyę wysyłamy za zaliczeniem pocztowem.



FABRYKA
PIANIN
839—13—10
Ludwik Hildt (Syn)
Nowogrodzka № 11.

Welocypedy dziecinne,
Wózki dziecinne, 843—12—9
Fotele dla chorych
w najlepszym gatunku,
Wszelkie reperacye najtaniej poleca
NOWO-OTWORZONA PRACOWNIA
Stanisława KŁYSZEWSKIEGO
Aleja Ujazdowska № 17.

LECZNICA
Marszałkowska № 94,
róg Nowogrodzkiej (gdzie apteka W-go Barcza).
Porady we wszystkich specyalnościach dla przychodzących chorych od g. 9 do 4 i od 7 do 8 p. p., codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt.
Cena kop. 30. 806—15-14

FORTEPIANY nowego systemu
po cenie pianin poleca
W. BRAWECKI
b. współpracownik firmy **Krall i Seidler**
Jerozolimska 49.
Przyjmuje reparacye i strojenie po cenach przystępnych. 826—12—11

KAKAO, CZEKOLADĘ,
CUKRY
DESEROWE,
CZEKOLADKI
poleca
883-25-1
W. TRUSZKOWSKI
FABRYKA Krak.-Przed. 17.

PRACOWNIA SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH
Felicyi Rongers
S-to Krzyzka 3i m. 20
Przyjmuje obstalunki tak z własnych jak i z powierzonych materyałów. Krój i fason podług najświeższych żurnali. Wykonanie staranne. Ceny umiarkowane. Zarazem uczę kroju oryginalnym systemem Wortha. 867-5-3

Do dzisiejszego numeru „Tygodnika Mód i Powieści", dla wszystkich prenumeratorów miejscowych i zamiejscowych, dołączają się próby

NOWOŚCI SEZONOWYCH
FABRYK TOWARZYSTWA AKCYJNEGO
WYROBÓW BAWEŁNIANYCH
HEINZLA i KUNITZERA
W ŁODZI,

Fabryki powyższe mają honor zawiadamić Sz. Publiczność, że rozpoczęły w roku bieżącym nową gałęź wytwórczości, mianowicie wyrób

tkanin fantazyjnych drukowanych.

Tkaniny te wyrabiane będą z uwzględnieniem najnowszych wymagań mody i najpiękniejszych wzorów sprowadzanych z zagranicy. Pierwsze okazy nowych wyrobów zyskały już zupełne uznanie ludzi fachowych.

Staraniem fabryk będzie, ażeby tkaniny drukowane wyrobiły sobie wśród Sz. Publiczności taką samą dobrą renomę, jaką posiadają już w tychże fabrykach, wyrabiane towary bielone, sposobem elektrycznym.

881—1—1



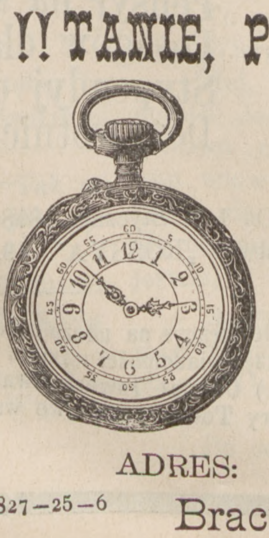
!! BEZ KONKURENCYI !!
Wózki dziecinne i Welocypedy najnowszych zagranicznych fasonów poleca fabryka
I. SŁOBODSKIEGO
872—10—2 Długa Nr. 30 Warszawa.



Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d. na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczając je od moli
ZAKŁAD
Konstantego Lewandowskiego
w Warszawie, ul. Oboźna № 4.
Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości. 871—15—1

KWIATY
SZTUCZNE poleca
• **M. CIECHANOW** •
Elektoralna 31. 822—15—11

!! TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE !!



Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki męzkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, **z ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.

Gwarancya piśmienna na 6 lat.

Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

827—25—6
ADRES: FIRMA HANDLOWA
Braci WARKOWICKICH
Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Królewska № 29.

SPECYALNY ZAKŁAD
Reparacyi maszyn do szycia
W. KALINOWSKI
Wspólna Nr. 15 785-50-22

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK"

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs 13** zeszytów, **II-gi kurs 24** zeszyty. **Gramatyka Polsko-Francuska, 10** zeszytów, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18). Na zaliczkę pocztową wysyła się **tylko 20, 10,** lub przynajmniej **6 zeszytów. Kurs I-y z drugiej edycyi** w całym tomie kosztuje rs. 1 kop. 20 (pocztą rs. 1 kop. 35). Każdy nabywający wszystkie **47 zeszytów „Samouczka"** wprost **od autora,** otrzyma jako **premium bezpłatne** dzieło wartości rs. **1** kop. **20.**

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski wychodzi zeszytami po kop. 10 (pocztą k. 13).

Tak **Samouczek Francuski,** jak również **Rosyjski,** został opracowany na wyraźne **żądanie** i dopominanie się **Sz. Publiczności** i **Pp. Pedagogów.** Skład główny u autora **(v. Reussnera),** ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 797—12-9

Zaprawy do podłóg, Farby, Lakiery
poleca **HENRYK OSIŃSKI**
Miodowa 12, wprost Sądu Okręgowego,
w Warszawie. 690-25-19

„Pomoc prawna"
DLA NIEZAMOŻNYCH 798—13—10
przy ul. Złotej Nr 14.
P. Adw. przyś. **C. Brzeziński, A. Kronenblech, J. Przanowski** i **H. Zbrowski** udzielają porad prawnych, przyjmują sprawy do wszystkich sądów i redagują prośby do wszystkich władz i instytucyj.
Codziennie od g. 9 r. do g. 4 p. p.